

INFANTKA

BARBARA SWINARSKA

To było tak: siedzimy ślioczeni w pokoju, który przed południem był sekretariatem, a po południu salą szkolną. Jest to Szkoła Dramatyczna w Krakowie przy ulicy Szpitalnej. Mieści się w eks-privatnym mieszkaniu. Jeden czy też dwa pokoje zajmuje jeszcze pani Franciszka Szyman, siostra Arnolda.

Ślioczeni, bo na pierwszy rok przyjęto nas za dużo – co nam ku pokrzepieniu serc ciągle powtarzają nasi wykładowcy. To „za dużo” tak zaowocuje w ciągu naszych szkolnych lat, że egzamin końcowy będziemy zdawać pozbawione partnerów. Dwadzieścia jeden dziewczyn i siedmiu panów, w tym jeden żonaty (żona wśród nas) i jeden ksiądz.

Poprzednie roczniki w szkole to były lata Śląskiej, Gryglażewskiej, Holoubka. Na roku drugim było chociaż kilku wysokich chłopców i można było domyślać się w nich mężczyzn. Dwóch chodziło nawet w butach oficerskich i bryczesach. Po nas byli: Jędrusik, Herdegen, Jaroccki, Cybulski, Goliński, Olszewski, Zbiróg, Wałkówna, Zaczykówna i cały łańcuszek doskonałych potem aktorów. A nasz rok to była po prostu dziura.

Przepraszam wszystkie koleżanki i kolegów za to określenie. Przebywanie w dziurze nie zawsze jest zawinione przez nas samych. Składa się na to wiele elementów, posiadanie lub nieposiadanie zdolności, przypadki, okoliczności, układy, charakter, repertuar, fizyczność, reżyserzy, mężowie, kochankowie, przyjaciele, koleżanki, koniunktury, polityka itd., itd.

Z dziury wyszła właściwie tylko Ewa Lassek. Wprawdzie kilka koleżanek miało tzw. dobry start, ale potem jakoś ten start stężał, skostniał, przyszły młodsze, modniejsze, ładniejsze i pewno lepsze i tak się stało, jak się miało stać.

Ewa była na powierzchni przez 40 lat.

A więc siedzimy ślioczeni, w płaszczach, bo listopad, a jeszcze nie pała, a pod oknem dziewczyna, powinnam napisać „o pięknych oczach” – ale o tym będzie później – włosy ciemne, ujęte w modny jeszcze w czasie wojny wafeł, a na czubku głowy malutka, czerwona czapeczka z włóczki (moda z lat 41.). Czapeczka abstrakt, czapeczka plasterek, niczemu nie służąca, widać ją tylko z tyłu, czapeczka prawie taka, jaką muszą mieć na głowie panowie, jeśli chcą wejść do synagogi.

„Wieszio”, czyli profesor Górecki, nasz anioł szkolny, czyta listę obecności. Na każde przeczytane nazwisko wyciągają się szyje, to w lewo, to w prawo, żeby zobaczyć, kto jest kto – jest tych szyj chyba ze 35–40. Wieszio czyta „pani Lassek”. Dziewczyna w czerwonej czapeczce mówi, niby ironicznie, niby z dystansu, niby przez ramie: „To pewno chodzi o mnie. Tylko, że ja jestem Lassek przez dwa »s«”.

Nie powiem, żeby mi była w tym momencie sympatyczna. Kiedy Wieszio moje nazwisko na wszelki wypadek czyta przez dwa „t” – mówię: „To pewno chodzi o mnie, tylko że ja jestem Witek przez jedno »t«”.

Tak zawieramy znajomość z Ewą.

Nie przyjaźniłam się przez te szkolne lata z Ewą. Jakaś więź, ale też taka od spotkania do spotkania, nawiązała się między nami dopiero długo po szkole.

Następne, co pamiętam, to wieczorek zapoznawczy. Ewa tańczy tango z Dyrektorem Dąbrowskim. Dyrektor cały wciśnięty w Ewę, a pani Zmijewska siedzi pod ścianą i patrzy na tę rozpustę niezadowolona. Bardzo dbała o nasze „dobre prowadzenie się” – do Szkoły nie wolno było przychodzić żadnym obcym mężczyznom. Wyrzuciła kiedyś z korytarza samego Wilhelma Macha, który przybył do kogoś z Dudusiem Pawlikowskim.

Ewa tańczy jakby trochę nieobecna. Ręka położona wysoko na ramieniu Dyrektora. Na palcu sygnet. Złoty i jakiś herb na czarnym tle. Ale że byliśmy pokoleniem mającym w pogardzie herby, więc nie pamiętam, żeby ktoś dowiadywał się, jaki to był herb. Oprócz czerwonej czapeczki jest jeszcze zielony kapeluszik z małym rondkiem na głowie Oleńki Karzyńskiej, Lucyna ma ceglasty beret i ceglaste rumieńce i któraś wysoki turban (też moda okupacyjna). Dzisiaj to się wydaje zabawne, ale prawie wszystkie przedwojenne zasady, że kobieta w pomieszczeniu zamkniętym zdejmując kapelusz tylko w konkretnych okolicznościach. Dyrektor coraz bardziej włącza się w Ewę, a Ewa tańczy, tak jakby to nie dotyczyło jej, tylko kogoś całkiem innego.



III rok Szkoły Dramatycznej w Krakowie na Błoniach, 1 maja 1950, przed pochodem. Siedzi (w okularach) Ewa Lassek

Ewa przyjaźniła się z Hanką Komorowską, lub lepiej będzie powiedzieć „trzymała się”, bo przyjaźnić to się chyba z nikim nie przyjaźniła. Hanka w wykazie słuchaczy była wprowadzona tylko Komorowska, ale przy każdej okazji wbijała nam do głowy, że jest Korczak-Komorowska. Mieszkała u Lubomirskich. Byłam u niej w domu dopiero wtedy, kiedy wyszła za mąż za Władka Głębika, kolegę z II roku, który przez pewien czas był jedynym, tak, jedynym partyjnym w naszej szkole. Był I sekretarzem Organizacji Partyjnej i sam w sobie był Podstawową Organizacją. I tu znowu pamiętam Ewę, kiedy upuściła w przedpokoju ciasto, które przyniosła na składkową „herbatkę”. Przedpokój był zastawiony spiętrzonymi meblami. Ludwik Filip wbił nogami w biedermeier, księstwo warszawskie w nadwiślańskie rokoko. Mieszkanie miało 9 czy 12 pokoi – w każdym mieszkał inny rozparcelowany ziemianin. W pokoju Hanki było istne muzeum: obrazy, lustra, rekamiery, miednica i na sznurku wisiły gacie Władka. Ewa zawadziła o coś, ciasto upadło i rozsypało się. Niby nic wielkiego. Ale Ewa nie podniosła tego pakiecika, tylko powiedziała do Hanki: „Zawołaj kogoś ze zmiotką!”. Kto miał być tym kimś zawołanym – nie wiadomo. Zapamiętałam tę „zmiotkę”, bo tak mówią moje galicyjskie ciotki.

Na pierwszym roku przechodziliśmy kolejno etapy wtajemniczenia w istotę wiersza. Najpierw *Oda do młodości*, potem *Sonetów krymskie* z obowiązkowymi *Stepami Akermańskimi*. Jako sonet dowolny Ewa mówiła *Ciszę morską*. Profesor Woźnik po prostu zachwycił się Ewą, a był to pan, który rzadko, przynajmniej na naszym roku, zachwycał się narybkiem aktorskim. Mówił nam np.: „pani jest piękną kobietą, ale do miłości, a nie do teatru” albo „pani ma w sobie coś z pietruszki, jak to będzie wyglądało na scenie.” I mimo to, a może właśnie dlatego te dziewczynki-pietruszki, te dziewczynki-do-miłości najwięcej z nas wszystkich go lubiły. A Ewa przyjmowała po prostu łaskawie te jakby hotdy Woźnika. Kiedy mówiła wolno, muzycznie, czasami tak wolno, że chciałyby się ją trochę popęczyć, Woźnik dyrgował ręką i wstrzymywał ją, jakby nie chciał, żeby skończyła.

Byłyśmy już na drugim roku, kiedy na Ewę zwała się równocześnie śmiertelna choroba ojca i aresztowanie brata, Adama. Gdyby nie to, że wiedziałyśmy o tym „z miasta”, nikt by tego po Ewie nie zauważył. Jak zawsze dobrze ubrana, z taką trochę ponadczasową elegancją, świeża, czysta, odprasowana. Inna rzecz, że wszystko odprasowywała służąca, która rodzinie pp. Lasseków (a nie broni Boże Lasków!) prowadziła dom. Służąca o imieniu Agasia, a przezwisku „Porfirion”. Osoba niedużo od nas starsza, o rozłożystych kłębach. Kiedyś powiedziałam Ewie: „Stuchaj, ten wasz Porfirion tak się zachowuje, jakby się kochał w Adamie”. Ewa zrobiła tę swoją słynną pauzę przed kwestią i powiedziała z pełnym przekonaniem i dobitnie: „Mylił się, Basiu, Porfirion kocha po prostu swojego pana”.

Stwierdzenie to było tyleż kuriozalne co odważne, zwłaszcza że był to rok 1950 i nikt już nie posiadał pańszczyźnianych dusz. Ale Porfirion rzeczywiście kochał Adama i rzeczywiście chciał być jego pańszczyźnianą duszą.

Ewa była również odprasowana psychicznie. Nikt jej nigdy nie widział płaczącej, załamanej, a przecież to wszystko musiało ją boleć. Wydawała wielkie pieniądze na lekarstwa dla ojca, prowadzane z USA, wydawała wielkie pieniądze na adwokatów dla ratowania Adama. Kilka razy pokazywała nam kwitki za opłaty w zespole adwokackim (czy były już wtedy zespoły?). Były to sumy, których my, ciągle głodne studentki, nie mogłyśmy ogarnąć. Musiała również uczestniczyć w prowadzeniu firmy,

która należała do kartelu winnego. Ile razy jestem w Krakowie i idę ulicą Długa do mojej przyjaciółki Stelli, mijając dom mniej więcej na wysokości ulicy Helców, zawsze, od lat, myślę w tym miejscu o Ewie i o Adamie. W tym domu były piwnice kartelu i tak ogromne beczki, jakich już nie zobaczyłam nigdy w życiu.

Adama aresztowali w sposób groteskowy, chociaż podobno często praktykowany. Nie było więc kilku panów w mundurach wojskowych z „tetelkami” o czwartej rano, nie było brzęku kajdanów ani płaczącej matki, siostry, narzeczonej. Nic z Grotgera!

Adam został poproszony uprzejmie przez organa, żeby zechciał przybyć jako rzeczoznawca i wypowiedzieć się w jakiejś sprawie dotyczącej moshczu winnego. Pojechał więc na Pomorską (dawny gmach Gestapo został w 1945 zajęty przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego) własnym autem, w pelisie z kotnierzem z wydry i francuskim fularem pod szyją. Nawet się wyperfumował, tylko już nie pamiętam, czym.

Na temat moshczu winnego wypowiadał się ponad rok, a kiedy wychodził z więzienia, Ewa musiała mu przynieść płaszcz i ubranie. „Nie żał mi samochodu i pelisy, tylko tego francuskiego szalika nie mogę im darować” – tak mi opowiadał. Nie jęczał, nie odgrywał męczennika, nie obnażał psychicznych ran.

Rok II naszego terminowania w szkole był dla nas szczególnie smutny. Najpierw choroba Holoubka, a potem jego odejście do Katowic. Był asystentem prof. Woźnika, ale dla nas był czymś więcej. Dzisiaj powiedziałoby się, że był idolem, a wtedy nie mogłyśmy się przyznać przed sobą, szczególnie my, te bardziej liryczne (i z emploty, i z charakteru), że jest nam więcej niż bliski. Pozostałyśmy same z kapitałem uczucia, z brzemieniem, które nam ciążyło i zawadzało. Kiedy zjawił się prof. Mrożewski, który miał nas uczyć, jak grać w *Moralności pani Dulskiej*, natychmiast został obdarowany tym ciężarem słodkim i kłopotliwym. Lucyna czy ja, czy kto jeszcze inny wymyśliłyśmy „Klub Wielbicielek prof. Mrożewskiego”. Kiedy profesor wchodził, wstawaliśmy, kładłyśmy rękę na piersi i mówiliśmy: „ach”. Lucyna wykonała temperę na małych kartonikach karykatury wszystkich koleżanek, bo będąc w ekskluzywnym klubie, trzeba było mieć ekskluzywną legitymację. Do dziś jeszcze kilka takich karykatur mam w domu. Jedną tylko Ewa powiedziała: nie będę brała udziału w idiotyzmie. I nie uczestniczyła w uwielbieniu.

Natomiast jako jedyna z grupy woźnikowsko-holoubkowskiej właśnie Ewa umiała sprostać „Rówiennikom litewskich wielkich kniaziów”. „Rówienniki” to była cała afera. Profesor Nowakowski reprezentował starą szkołę mówienia wiersza. Dał, trąbił, grzmiał, trzeszczał, parskał. Jak w tekście była błyskawica, to obowiązkiem naszym było, dać się fizycznie porazić tej błyskawicy, jak w tekście był róg, to obowiązkiem naszych bębenków w uszach było pęknięcie od tego dźwięku. Nie lubi nas, post-woźnikowsko-holoubkowskich sierot. I taką robił atmosferę, że my, „woźnikowcy”, nie mogliśmy być dobrzy w „rówiennikach”. Tylko Ewa umiała godzić ze sobą te dwa żywioły. Też dęła, trąbiła, grzmiała, trzeszczała – tak jak było w planie, ale równocześnie wprowadzała po

chichu coś z Woźnikowskiej mądrości i Holoubkowskiej metafizyki, wprowadzała średniówkę, zaznaczała koniec wiersza, których to imponderabiliów prof. Wacław N. żywiłowo nie znośił. „Tylko idioci tną wiersz na kawałki” – to Wacław. „Tylko idioci mówią wiersz bez cezury” – to Woźnik. Dywersja Ewy była sztyta cienkimi nićmi, ale nie sądził, żeby taki stary wyga teatralny, jak Nowakowski, tego nie zauważył. Prawdopodobnie założył sobie, że jedna z „sierot” będzie dobra i u niego. I udawał, że daje się Ewie nabierać. Na trzecim roku robiliśmy sceny z *Wesela* i z *Cyda* wg Wyspiańskiego u prof. Szymańskiego, *Ich czworo* u prof. Krzezińskiego. I znowu Ewa zdecydowanie oświadczyła, że nie będzie grać w *Ich czworo*. Nie dla niej ani Żona, ani Mania. I postawiła na swoim – jako jedyna na roku nie grała w *Ich czworo*. Zabytnęła natomiast w *Cydzie* jako Infantka. „Wiesio” Gorecki twierdził, że jest Infantką doskonałą, najlepszą w dziejach szkoły, a kto wie, czy nie i teatru. Ponieważ był znanym w Krakowie melomanem i wszystko kojarzyło mu się z muzyką (zapędział nas na koncerty i potem z tych koncertów odpływał), Infantka Wyspiańskiego kojarzyła mu się oczywiście z *Pawaną na śmierć Infantki* Ravela. Przychodził niejednokrotnie na nasze zajęcia z *Cyda* – zawsze pytając prof. Szymańskiego, czy mu wolno wejść – siadał pod oknem i miał łzy w oczach, kiedy Ewa mówiła „zamilkaj, serce dziewczę”. Może też podkochiwał się w Ewie, jak tyłu chłopców, mężczyzn, panów.

Następny kawałek Ewy to Augustów w roku 1950, w sierpniu. Byliśmy tam my, czyli tzw. „kolektyw” aktorski, żeby zrobić moją sztukę na Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych. Przedsięwzięciu patronowało ministerstwo i Edward Csató.

Kolektyw, czyli: Lucyna Legut, Herdegen, Zbyszek Cybulski, Jurek Jarocki, Jurek Goliński, Halina Zaczek, Tadzuniu Śliwiak, Stasio Michalik, śliczny efeb kolega Mazurkiewicz, Lidka Rybotycka, Irka Miszke, Magurski i jeszcze kilka osób z I i II roku oraz koleżanka K. z I roku, która po prostu sama sobie wybrała rodzaj śmierci. Nie chciałyśmy jej zabrać, nie była nam potrzebna, nie lubiłyśmy jej, opędzaliśmy się od niej, gnaliśmy ją od siebie, ale tak się uparła i zaparła, tak się podlizywała, tak była natrętna, że w końcu i Lucyna, i ja ustąpiłyśmy. Utonęła w największym z jezior Augustowskich. Popynęła kajakiem ze studentem albańskim. Rozpuściła długie kręcone włosy i zawięta się w kłozowy szlafrok. Kiedy zmieniali miejsca – K. była romantyczna, chciała zobaczyć zachód słońca – kajak przewrócił się. Obydwoje nie umieli pływać. Albańczyk przeszedł po dnie! Dziwne, ale tak było. Do brzegu było dosłownie kilka metrów. Koleżankę K. – po kilku dniach daremnych poszukiwań – znaleźli Zbyszek Cybulski i Stasio Michalik. Bo to był właśnie dzień, w którym woda ją oddała.

Ewa do „kolektywu” nie należała. Tak jak nie należała w szkole do żadnej organizacji. Ani do ZAMP-u, ani do PCK, ani do Klubu Wielbicielek prof. Mrożewskiego. Przyjechała ni z tego, ni z owego. Mówiło się, że do Zbyszka Cybulskiego. Dziewczyny nie były zadowolone. Ewa była bardzo piękna. A w tym wypadku najpiękniejsza.

Śmierć wyzwala w ludziach pewien rodzaj specyficznego podniecenia

Moja córeczka Różewicz w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1968). Ewa Lassek (Siostra), Maria Bednarska (Stara Kobieta). Reż. Jerzy Jarocki, scen. Wojciech Krakowski

Trzy siostry Czechowa w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1969). Ewa Lassek (Masza), Marek Walczewski (Wierszynin). Reż. Jerzy Jarocki, scen. Urszula Gogółka

Puzuk Havla w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1968). Ewa Lassek (Balcarkova), Andrzej Buszewicz (Beck), Jerzy Żelnik (Kriebel). Reż. Bogdan Husakowski, scen. Wojciech Krakowski



FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI



Wszystko w ogrodzie Albeego w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1970). Ewa Lassek (Jenny), Mirosława Dubrawska (Pani Toothe). Reż. Jerzy Jarocki, scen. Lidia i Jerzy Skarżyński



Szewcy Witkacego w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1971). Na pierwszym planie: Ewa Lassek (Księżna), Reż. Jarzy Jarocki, scen. Krystyna Zachwatowicz



Matka Witkacego w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1972). Wiktor Sadecki (Plejtus), Ewa Lassek (Janina Węgorzewska). Reż. Jerzy Jarocki, scen. Krystyna Zachwatowicz

psychicznego – trumna, ubranie nieboszczyka, zawiadomienia, urzędy, co by było gdyby..., a nie mówiłam, że..., rozmowy ściszym głosem, spojrzenia pełne porozumienia, ogólna symbioza wtajemniczenia w coś, co nas już niby muska, ale jeszcze nas nie dotyczy.[...]

Ewa – włączyła się do ekipy pogrzebowej. Nigdy przedtem i nigdy potem nie widziałam jej tak eksplodującej temperamentem. Przerwała pobyt w Augustowie, wróciła do Krakowa. Działała, organizowała, zawiadamiła. Miała w sobie coś z impetu „Rówieńczyków litewskich wielkich kniaziów”. Grzmoty, surmy, nawałnice. Nigdy tego nie zrozumiałam. Ewa w szkole była przecież taka chłodna. Chłodna nawet wtedy, kiedy szła do więzienia na widzenie z Adamem.

Następny fragment Ewy to już sierpień 1959 roku. Konrad i ja, Ewa i jej matka. Spotkanie w Teatrze Wybrzeże. Na scenie *Kapelusz pelen deszczu* i Zbyszek Cybulski. Kiedyś Zbyszek, w szkole, pod piecem w korytarzu (bo pod piecem było miejsce na życie duchowe) powiedział do Ewy: „Chcę być twoim Rodrygiem”. Ale Ewa wtedy jakoś nie chciała. Potem Zbyszkowi coś się odmieniło. Ale Ewa była w tych sprawach hermetyczna, więc tak naprawdę nikt nic nie wiedział. Adam powiedział mi kiedyś, że Zbyszek nigdy nie będzie odpowiednią partią dla Ewy. Dlaczego? – zapytałam. Nie jest odpowiednio urodzony.

Teraz już wszyscy nie żyją: Ewa, Adam, Zbyszek, Konrad i wszystko jest już nieważne. Ale wtedy byliśmy jeszcze młodzi, szczupli, opaleni i jeszcze tyle było przed nami. I był ten obłądnie upalny sierpień 1959 roku, kiedy wszystko nam się udawało: nasze rozległe życie prywatne i nasze życie zawodowe.

Spotkaliśmy się potem w SPATiF-ie. Ewa z tym swoim nieustannym dystansem. Zbyszek w ciemnych okularach. Ale minął już dawno rok 1950. Królówicz dla Infantki był się pojawił – Jurek Jarocki. Rodrygo miał ciemne okulary, uwielbiało go 3/4 dziewczynskiej Polski.

Konrad zanudzał obie panie opowiadaniem o Festiwalu Młodzięzy w Wiedniu, skąd właśnie wracał. W domu powiedział mi, że Ewa nigdy nie przeskoczy swojej urody i nie będzie dobrą aktorką. Za kilka lat będzie się zachwycał jej klasą aktorską, kiedy obsadzi ją w Zonie w *Nie-Boskiej*, kiedy zagra u niego Panią w *Pokojówkach*, Dianę we *Wszystko dobre, co się dobrze kończy*.

Gdyby żył i gdyby program o romantyzmie, który proponowała mu w 1975 roku Telewizja, został zrealizowany, Ewa grałaby kilka ról. Niedawno znalazłam Jego notatki, a jest ich w domu pełno – kto je odczyta? A więc: „Fantazy – Lassek-Królowa Nocy – aria w scenie samobójczej Tadeusza – przy grobie. Twarz i usta zupełnie zamazane na biało. Oczy – coś z jaszczurki – nadnaturalnej wielkości. Aria – część koloratura – potem katarynka – staccato – Ewa się jąka”.

I na innej kartce: „Lassek – „Pani zabiła pana” – grać przeciw urodzie. – Rozpusztana. – Obslinitona”. Gdzieś w okolicy *Pokojówek* Ewa zaprosiła mnie na śniadanie. W domu była mała, śliczna dziewczynka, córka Ewy i Jurka – Nana. Miała w zachowaniu spokój Ewy i stodycz oczu Jurka (no,

z tą stodyczą oczu Jurka to było różnie – gdybym lubiła tzw. literackie metafory, powiedziałabym, że te dwie niewinne niezapominajki przemieniały się w momentach „burzy i naporu” w dwa zatrute (powiedzmy, częściowo zatrute) sztylety. Jurek wszedł, powiedział coś i poszedł, a raczej pojechał, bo miał wtedy jakąś (niezdrową według mnie) manię jeżdżenia do teatru na rowerze-składaku. Ale to mieściło się w Jurku, te sztylety w oczach i ten składany rower. A myśmy sobie popijały czystą wyborową. Czystą poranną, przedpołudniową. I Ewa nagle, bez żadnego związku z rozmową, wstaje, pokazuje mi fotele bez obicia, gołe, Iniane, nieprzyzwoite w tej nagości i mówi: „Wojtek Krakowski znowu nie przywiózł mi z Kolonii tego obicia o renesansowym wzorze”. Następnie wyszarpuje z jednego fotela garść rossharu i mówi: „Basiu, jak ja mam w tym wszystkim żyć?”.

Piłyśmy sobie łagodnie. I Ewa znowu nieoczekiwanie, bezosobowo, jakby mówiła nie do mnie, tylko do widowni: „Popatrz na moje ręce!” Prawdopodobnie popatrzyłam.

Ręce to była chyba jedyna nie za ładna rzecz w Ewie. Wszystko miała ładne: oczy (wręcz wspaniałe), nos, usta, piersi, biust, talię, nogi, proporcje, tylko ręce były jakby pożyczone od kogoś innego.

„Na tych rękach umarła moja matka”.

I zaraz sobie przypominałam tę panią, także o bizantyjskich oczach, i przypominałam sobie Zbyszka na scenie, Zbyszka w SPATiF-ie i pomyślałam, że licznik nam wszystkim coraz szybciej bije. Nie dzwon, tylko właśnie licznik.

Ale zaraz weszła ta mała dziewczynka pełna powagi, poważniejszej od powagi dorosłych. Stała gdzieś w okolicy nagich foteli i wydawało mi się, że Ewa powinna koniecznie ubrać dziecko w Velasquezowską „królewską katanę”. Mała Infantka, następczyni Infantki Dużej.

Ostatni raz widziałam Ewę na Dniach Swinarskiego w Krakowie. W listopadzie 1985 roku. Była na galowym obiedzie dla notabli i wybranych ludzi teatru. Serdeczna, ciepła, uśmiechnięta, z tą samą klasą wielkiej damy, którą miała w szkole, tylko tak jakby tkwiąca w niej dama złagodniała, wyniosłość zamieniła się w wyrozumiałość.

Po przyjęciu odwieziono nas autokarem pod teatr. Ewa koniecznie zapraszała mnie do siebie. Obiecałam, że przyjdę. Nie przyszłam. Jakoś ciągle nie miałam czasu. Trochę w tym winy Zuka Opalskiego, na którego tonie przebywałam od rana do wieczora.

Kiedy Ewa zachorowała i leżała w szpitalu po operacji, jedynym (lub prawie jedynym z teatralnych kolegów), który ją odwiedzał, był Żuk. Życie jest okrutne, teatr jeszcze bardziej. Złożyłam na jego ręce obietnicę, że napiszę do niej list. Przez rok Żuk przypominał mi, że Ewa czeka na list. Nie pisałam. Co jest dziwne, bo ja przecież dotrzymuję obietnic. Raczej zawsze. Lub raczej na ogół.

Niechże zatem to moje spóźnione pisanie będzie pawaną dla umartej Infantki. Moją dla niej serdecznością. Moim podziwem.



Wiśniowy sad Czechowa w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1974). Na pierwszym planie: Ewa Lassek (Raniewska), Reż. Jerzy Jarocki, scen. Jerzy Juk-Kowarski



Smak miodu Delaney w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1978). Magda Jarosz (Josephine), Ewa Lassek (Helena). Reż. Zbigniew Mich, scen. Tomasz Banovich

Garbus Mrożka w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1975). Na pierwszym planie: Renata Kretówna (Onka), Ewa Lassek (Baronowa), w głębi: Józef Onyszkiewicz (Garbus)

Bezimienne dzieło Witkacego w Starym T. im. Modrzejewskiej w Krakowie (1982). Ewa Lassek (Księżna Barbara), Ryszard Łukowski (Cynga). Reż. i scen. Krystian Lupa

